XVII Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marii Komornickiej
Kozienicki Dom Kultury im. Bogusława Klimczuka – KOZIENICE 2019
Małgorzata Januszewska – kategoria dorośli – proza – III miejsce

Godło: bezimienna

Jadzia

Historia świata jest sumą tego, czego można było uniknąć – Bertrand Russel

Jej historia rozpoczęła się na torach.

Pamięta tylko, że pociąg płakał i krzyczał. Krzyczał, że jej nie wolno płakać. Nawet, jeśli bardzo się chce.

Zamazany jest ten pociąg. Tak szybko odjeżdża. Wie, że coś w nim zostawiła. Zgubiła. Tylko zapomniała co…

*

- Ktoś ty? – spytała Sołysiakowa, gdy przyszła raz do mamy.

- Jadzia… - szepnęła najciszej jak mogła, zza nogi stołu, miętosząc w piąstce róg zwisającej ceratki w czerwone jabłuszka.

- Jadzia… ładnie. I buzia ładna. Ale skądżeś ty? – dopytywała kobieta w kolorowej chuście. – No skąd?

- A, stryjenka przywiozła… - tłumaczyła mama. – Choroba ją zmogła. W szpitalu jest. To dziecko samo miało być?

Sąsiadka pokiwała głową i dała małej spokój, ale potem to już ją mama zawsze prowadziła do drugiej izby i pokazywała palec na ustach, gdy kto przychodził.

A że mała pamiętała, że ma nie płakać, to siedziała sobie tam, na jakim zydelku i patrzyła za kotkiem. Bo do domu bury kotek przychodził. Taki mały, maluśki, jak ona. I jak go wypatrzyła, to już jej całkiem dobrze było. Nie musiała wcale na kolanach, przy stole, odpowiadając na dociekliwe pytania sąsiadek, przesiadywać.

Mama mocno ją przytulała. Czasem tak mocno, że aż tchu brakowało, ale za to robiło się wtedy Jadzi najlepiej na świecie. Lepiej niż z burym kotkiem na zydelku, lepiej niż z gorącym rosołem w buzi, a nawet lepiej niż… kiedykolwiek.

Za to tato, jak przychodził z pola, to patrzył na nią trochę spode łba. Miał przy tym takie smutne oczy, jakby bał się uradować, „bo mu ją kto jeszcze zabierze". Tak powiedział, gdy Jadzia była o rok starsza i zapytała, czemu się wcale nie uśmiecha. I od tej chwili, pomału, najpierw półgębkiem, a potem już szerzej, zaczął. Uśmiechać, śmiać, a nawet puszczać oko, czego Jadzia jeszcze nie potrafiła.

- Nie kryj jej tak… - usłyszała raz, jak tato mówi do mamy.

Mama rozkładała właśnie wielgachne pyzy na talerze i ostatnia wypadła jej z łyżki.

- Sama nie wiem… - westchnęła tylko i dodała: - Jedz, Jadzia, jedz, dziecinko.

- Już wszyscy i tak wiedzą. Nie schowasz jej w szafie, a tak ludziom się opatrzy, polubią, to i nic nikomu nie powiedzą.

Więc w którąś niedzielę, choć mróz skrzypiał i wiatr dął, wybrali się z małą, opatuloną w kożuch, do kościoła. Ale tak przed mszą, żeby na zakrystii proboszcz najpierw zdecydował.

- Widzicie, moi kochani, jak to Bóg sprawiedliwie obdarowuje… - wzniósł obie dłonie w górę i spojrzał na dziecko łagodnym wzrokiem. – Nie mieliście, nie mieliście i oto jest! Spada wam piękne dziecię, prosto z nieba…

- Ale ksiądz proboszcz… wie… ? – mimo dobrotliwego tonu mama nadal drżała i bała się powiedzieć coś więcej.

- Wie, wie… Chodźcie, kochani, na mszę, pobłogosławię wam i temu dziecku. Tylko… - zawahał się – żeby mi było po naszemu: ochrzcić i imię tutejsze wybrać.

- My właśnie po to do księdza proboszcza! – tato ucieszył się i zaczął mówić śmielej.

- A imię to ona już ma: Jadzia!

- Za świętą Jadwigą, patronką Polski… - zadumał się proboszcz. – Niechaj i tak będzie. To nikt jej krzywdy tutaj nie zrobi. Byle o końca wojny, byle do końca…

*

Jadzia rosła jak na drożdżach. Czy to po maminej kuchni: pierogach i kopytkach, czy to bo zdrowiem chrzest ją obdarował. Grunt, że w szkole chłopcy przestali na nią wołać „karzeł", a zaczęli ciągać za warkocze. Szczególnie Janek upodobał sobie rozwiązywać jej czerwone kokardy. A że siedział, urwis jeden, za Jadzią, było mu to nader łatwo czynić.

- Rosiak! – pewnego razu profesor Cegielska przerwała jego niecne zachowanie. – A tabliczki mnożenia to ty się, chłopcze, nauczyłeś? Podejdź no, do katedry!

Janek orłem nie był, tym bardziej z arytmetyki, ale nawet po pamiętnej lekcji, kiedy profesor Cegielska postawiła mu pałkę, przyłożyła pięć razów linijką w otwartą dłoń na oczach klasy i przesadziła do pierwszej ławki, jego zainteresowanie Jadzią nie zmalało.

- Chcesz, to poniosę ci tornister?

- Nie, dziękuję – Jadzi nie podobały się ani jego wcześniejsze maniery, ani brudne paznokcie, ani zsypana piegami buzia.

- Marny rok będzie – mówił tato, jak wiosna długo nie przychodziła. – Już kiełkowało i masz! Takie mrozy! Dobrze, Maryś, że choć ludziom szyjesz, to grosza na miskę starczy…

- Daj, Jadziu, fartuszek – westchnęła mama. – Znowu żeś wyrosła – a wziąwszy, rozpruła szwy, tu coś dodając, tam ujmując, aż nazajutrz był jak nowy. - Rosiakowa przyniosła spodnie chłopców. Jeden to razem z naszą Jadzią chodzi. Pracowity taki, mówi Janka, robota mu się w rękach pali. Ojcu pług naprawił, jej stołeczek sprytnie zbił. Tylko do nauki głowy nie ma. Może byś mu, Jadzia, pomogła? Wytłumaczyła, co tam nie rozumie?

Jadzia krnąbrna nie była, więc, choć nie przepadała za Jankiem, kiwnęła głową. Schowała urazy w kieszeń i wytłumaczyła, aż profesor Cegielska wyjść z podziwu nie mogła.

- Co cię tak, Rosiak, odmieniło? – pytała kręcąc głową, ale, zasłużenie, stawiając bardzo dobry, i to z wykrzyknieniem!

- Raczej: kto! – niektóre dzieciaki w klasie widziały i uśmiechały się pod nosem. A Jadzia zauważyła w czasie ich korepetycji, że Jankowi pojaśniały dłonie, piegi zbladły i w końcu… zgodziła się na noszenie tornistra i odprowadzanie do domu.

- Fiu, fiu! – pogwizdywał tato, widząc kawalera przy płocie. – Widziałaś, Maryś? Panna nam, rośnie!

- E, tam – machnęła ręką mama. – Toż to jeszcze smarkate. Sto razy im się zmieni.

Ale się nie zmieniło. I Janek, dzień w dzień, zjawiał się rankiem po Jadzię, a po szkole żegnał przy furtce. Zaczął też przynosić podarki: wiosną świeżo zerwane truskawki z ogrodu, latem kozie mleko, a jesienią kosztele.

Zimą dostał prezent od Jadzi.

- Dla ciebie… - zarumieniła się, wręczając zapakowaną w biały papier niespodziankę. Janek delikatnie rozwiązał żółtą wstążkę i wydobył z papieru coś szeleszczącego.

- Co to? – zapytał i ugryzł się w język, zawstydzony.

- To… płatki z bukietów od ciebie… - Jadzia przygryzła wargi. – Chciałam je zachować, więc zasuszyłam… - tłumaczyła. – Spójrz, tu są konwalie, stokrotki, floksy…. Przyszyłam je do tekturki obłożonej rąbkiem sukienki. Mamie zawsze jakieś ścinki zostają…. Podoba ci się?

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem – przyznał Janek mocno zakłopotany. – Ale to jest… piękne! Jak pachnie! I ty to tak… sama?

- To nic trudnego! – Jadzia roześmiała się perliście. – Wystarczy wymyśleć wzór. Nie minął miesiąc, a do chałupy Mikoszów zaczęły pukać sąsiadki.

- A pokaż no te swoje cuda – zagadywały Jadzię, a na widok ozdób kręciły głowami.

- Sprytny pomyślunek! Gdziesik podejrzałaś, czy jak? Zrobiłabyś, a może podarowała jaką?

Potem z drugiej wsi przyjechały kumy i nawet grosik oferować chciały za serwety ślubne, które by specjalnie na tę okoliczność przystroiła. Wieść o kwietnej artystce szybko poszła w świat i jeszcze nim Jadzia osiągnęła pełnoletność, zaczęła – pomógłszy wcześniej matce i ojcu w gospodarstwie – na dobre dekorowaniem się zajmować. Wyszywać ozdobne serwety z motywami roślinnymi, wiejskimi i takimi, jakich wokół było pełno.

Wtedy zaczął się o nią starać Leszek Gieruń. Podpatrywał jak jej idzie szycie, wodę za nią nosił ze studni, ojcu chciał pomagać we żniwach.

- Cosik mi się zdaje, że Jadzia w oko mu wpadła … - matka podsumowała te jego podchody przy kolacji. - Wyprzystojniał, nie można powiedzieć. A z naszej Jadzi taki cukiereczek, pasowaliby i może do siebie?

Ale nie do niego wzdychała co wieczór młoda panna. A nie chcąc, aby Leszek na próżno smalił cholewki, poprosiła, by prób owych nie ponawiał.

- Te Rosiak! Ty się z Żydówką zadajesz! – na efekty rozmowy nie trzeba było długo czekać, bo Leszek, postanowił odegrać się na Janku. – Ona to na jeden raz! Z naszą, porządną dziewczyną się żeń, a nie taką, znajdą!

Za te słowa Janek, mimo że do osiłków nie należał, pysk Leszkowi obił. Zęby poleciały i nos się przekrzywił. A parę miesięcy później proboszcz, ten sam, co Jadzię z rodzicami błogosławił, a potem chrzcił, pierwsze zapowiedzi dawał.

Na dwie niedziele przed ślubem Janek z ojcem chcieli jeszcze czystkę na polu zrobić. Żeby pannę młodą przywitać jak należy, na porządnym gospodarstwie. Pożyczyli z PGR-u kombajn do zielonki i zaiwaniali w tą i z powrotem, aż do wieczora. Na drugi dzień to samo.

- Mikoszowa! Mikoszowa! Jadźka!!! O, Jezu, jest tam u was kto?! – koło południa przyleciała pod furtkę sąsiadka, drąc się przy tym w niebogłosy.

- Pani wejdzie, Pani Sołtysiak! – Jadzia otworzyła szerzej okno i gestem zaprosiła Sołtysiakową na podwórze. – Coś pani trzeba?

- O Jezu, Jezu! – sąsiadka ledwo tchu złapała, poczęła znowu lamentować. – U Rosiaków stało się coś niedobrego! Z sieczkarnią! Zacięło się! Musowo kamień czy jak, a że ten ich Janek w gorącej wodzie kąpany, od razu z rękami poleciał! A jak poszło, to mu za rękawicę… ! I rękę mu *wciągło*!

- Może który autem weźmie?! – Jadzia z matką pędziły do furtki. – Do szpitala trzeba!

- Już Tadek wziął i zawiózł! – wyrzuciła z siebie Sołtysiakowa. – Może co zszyją…

*

- Wiesz co po wsi gadają? – Janek siedział przy stole, podpierając zdrową ręką głowę. Wzrok wlepiał w pustą szklankę, którą przed chwilą uśmierzył ból. – Wiesz?

- Nic mnie to nie obchodzi. Mogą sobie mówić, co chcą… - oparła cicho Jadzia.

- A powinno! Bo mówią… że najładniejsza dziewczyna za kalekę idzie… - podniósł zabandażowany kikut ponad stół, krzywiąc się przy tym, aż mu łzy poleciały.

Jadzia poderwała się z krzesła, objęła jego rozgrzaną głowę i przycisnęła do siebie.

- Ale ja ci obiecałam! Kimże bym była, gdybym teraz … ? A zresztą… jak ręka miałaby zmienić człowieka? Ty jesteś! Tu! – wskazała na pierś. – Zawsze taki sam!

*

- Proszę, Anielko, przymierz… - Jadzia podała córce szkolny fartuszek, z białym kołnierzykiem, ten sam, który kiedyś jej mama dla niej uszyła. – Dobry? Pokaż się! Obróć.

- W sam raz! – zaśmiała się babcia Marysia. – Podobna jesteś, Anielko, do mamuni, jak dwie krople wody!

- A Michaś do Janka – dodała z zadowoleniem Jadzia, założywszy mundurek synkowi. – No, to teraz jesteście gotowi! A po szkole opowiecie nam jak było, dobrze?

Bliźnięta kiwnęły głowami, za co dostały soczyste buziaki w policzki.

- Mamusiu? – Michaś szarpał poły maminego fartucha, gdy ta robiła ciasto na pierogi.
- Syneczku, puść, bo mąkę sypiesz ze stołu. Siądź na taborecie i powiedz, o co chodzi.
Michaś, choć usiadł, wiercił się i wiercił, zanim wreszcie wykrztusił pierwsze słowa.
- Bo… mamusiu?
- Tak?
- A co to jest Żydówka?
- A czemu pytasz?
- A bo w szkole to… Franek tak przezywa Anielkę…
Jadzia zamarła na chwilę, ale postanowiła zachować przy dziecku zimną krew.
- Jaki Franek, Michasiu?
- No, Franek! Gieruń! I jeszcze powiedział… - Michaś nabrał powietrza, ale przerwał, za to wiercenie na stołku się nasiliło.
- Co, kochanie?
- … że powinna pójść z dymem, jak jej matka… - to powiedziawszy Michaś spojrzał na mamę wyczekująco. – Czemu tak powiedział, mamusiu… ?

- Przeprosił? – Jankowi krew wystąpiła ze wzburzenia na policzki.
Jadzia kiwnęła głową.
- Bo jak nie przeprosiła, to ja go… - zacisnął lewą pięść.
- Daj spokój. On jest chory. Pije na umór. Wyzywa ich, bije. Hania mówi, że jak go nie zaszyją, to go zostawi, bo rujnuje jej zdrowie i chłopcom w głowie mąci.
- Mogłem go wtedy bardziej przetrącić… Zakała wsi!
- Janku, proszę… - Jadzia nakryła jego pięść swoją delikatną dłonią. – Bliźniakom jakoś to przetłumaczyłam, a Hania… to już sami muszą dojść do ładu. Ma tych kolesi za lasem, wiesz który dom… Tam żyje taki, co dawniej Niemcom uciekinierów wydawał. Najpierw im niby pomagał, a jak ograbił do cna, to rozpowiadał, gdzie się ukrywają…
- Burda?
- Tak, ten. Żona mu umarła, a on sam to ten ich majątek przetraca, przepija… Złorzeczy na każdego. A Leszek chodzi tam do niego i nasiąka.

*

Minęła jesienna słota i proboszcz Rudziak przygotowywał właśnie swoje najmłodsze owieczki do adwentu, kiedy lekcję religii przerwało nagłe wtargnięcie Hanki Gieruń.
- Proszę księdza…, proszę…! – zanosiła się od płaczu, nie mogąc wydobyć słowa.
- Moje dzieci… - zakonnik zwrócił się do uczniów, widząc jej roztrzęsienie – na tym dzisiaj skończymy. Dowiedziałyście się, dlaczego rozpoczynamy adwent i jak jest ważny, teraz możecie iść w pokoju. A ty, Franku, przejdź do zakrystii, tam poczekasz na mamę.
Dzieci, uprzednio ubrawszy się w kurtki i nacisnąwszy czapki głęboko na uszy, opuściły salę katechetyczną. Jedynie bliźniaki postanowiły jeszcze chwilę zostać.
- … Czemu nas tak pokarało… - do ich uszu docierały strzępki zdań, przerywanych chlipaniem. - … W drzewo … tam jest z górki… Przez starego tak pił! … Przeklinałam go, to bić zaczął! Mnie, potem dzieci… Ale śmierci nie życzyłam! I po co ten spadek… na auto? Uparł się…. I jeszcze małego wiózł! … Proszę księdza … jak to dalej…. co robić? Co robić?!

Tydzień później Jadzia wybrała się do kościoła po bliźnięta. Po skończonej katechezie uklękła przed Ołtarzem, a proboszcz Rudziak pobłogosławił ją z wielce poważną miną.
- Nie zrobisz tego, nie zrobisz! – Jankowi żadne inne słowa nie przychodziły na myśl.
- Postanowiłam – odparła krótko. – Chcę zrobić coś ważnego, nie tylko szyć serwetki.
- Urodziłaś mi dwoje najlepszych dzieciaków!

- Tak, ale chcę spłacić swój dług.

- Jaki dług? – Janek nie dowierzał. – Nie masz żadnego długu! A nawet gdyby, to już go dawno spłaciłaś. Która by mnie takiego chciała?! – wymachiwał zasklepionym kikutem.

- Przecież ja nie z litości… Janek! – Jadzia szybko zaprotestowała. – Zrozum, ja muszę! Muszę zasłużyć, aby tu żyć, z wami. Aby naszych dzieci nikt nie wytykał palcami.

- Pokaż mi tego, kto wytyka! – Janek poderwał się z krzesła. – Jeden stary pomyleniec i drugi głupi zazdrośnik! Ale cała wieś jest za tobą! Zapytaj, kogo chcesz!

- Janku, Franek to jeszcze dziecko. Nic nie zawinił, a wódka ojca odbiera mu życie… - Jadzia przemawiała łagodnie. – Najgorsze obrażenia to w środku, te nerki… Ale jest szansa!

- Ale ma rodziców! Czemu nie oni? Powinni! Czy jakiś krewny!

- Leszek z wypadku wyszedł ledwo sam, ma krwinki w moczu, chorą wątrobę…

- Mógł tyle nie żłopać! A Hanka?

- A Hanka… w ciąży – Jadzia powiedziała cicho i uśmiechnęła się do Janka. – Nie mogą być dawcami. Krewnych pogrzebała wojna albo starzy, schorowani. Trzeba pomóc…

- Nie chcę cię stracić… - lewą ręką przycisnął żonę do siebie. – A jak co się stanie?

- Nie stanie – pocałowała go w policzek. – Z jedną nerką można żyć.

*

We czwartek wiatr potrząsał grzywkami brzóz. Sypiąc złote liście, przystroił wieńce. A świeża, czarna tabliczka zamknęła życie Jadwigi Rosiak klamrą dat: 1940-2011. W poniedziałkowy poranek były gotowe litery: „Zasnęła snem spokojnym, obdarowawszy bliźnich drzewem życia". To Franek Gieruń wygrawerował je sam, w kamieniu.

Dzieci, wnuki i prawnuczęta pożegnały najlepszą matkę i babcię, Janek najukochańszą żonę, a wieś dobroduszną kobietę. Hani nie było na jej pogrzebie. Nie mogło. Odeszła wiele lat wcześniej, wydając na świat trzeciego chłopca – Ignasia. Jadzia wzięła go tedy do siebie, a potem, często całą trójkę gościła, podsuwając pod nos smakołyki i tuląc, niczym matka.

Leszek, jak już doszedł do siebie po wypadku, wziął się za wychowanie dzieci. Sam. I chociaż niełatwo mu było, ani razu nie zajrzał do kieliszka. Syrenka, kupiona za spadek po ojcu, poszła do kasacji. W progu zadomowiła się bieda, ale, ostatecznie, chłopcy wyszli na ludzi. To ich wieniec był największy. Z dedykacją: „Dla naszej cioci Jadzi".

Epilog

Tak być mogło. Zrozpaczeni rodzice wyposażyli przecież swoje dziecko we wszystko, co mieli. Precjoza i pieniądze dali w węzełku, jako zapłatę za pomoc i opiekę. Owinęli poduszką, kocem i nawet płaszczem ojca, aby było jej ciepło i bezpiecznie wylądowała….

I wylądowała. Mimo, że pociąg w Łapach tylko nieco zwalniał, więc upadek z małego okienka w górze wagonu musiał boleć, i potoczyła się trochę – nie płakała. Jak kazali. Starczy, że pociąg rozpaczał, a rozpacz niosła się za nim. Nawet, gdy nie było go już widać.

- W drzewa! Skryj się w drzewa! – to też jej przed wyrzuceniem przykazali, więc niezdarnie, skrępowana piernatami, przeczołgiwała się w dostrzeżone suche krzaki.

I może nawet znalazłby ją tam jakiś mieszkaniec wsi, może by ją w strachu przed hitlerowcami ukrył w stodole czy u księdza, a potem wykarmił jak swoją, jak to się tu, w Łapach, kilka razy udało, lecz… pierwszy znalazł ją „kruk". Miał czarny płaszcz do ziemi i penetrował szyny, jak co dzień. Przeczesywał też pobliskie krzaki, a gdy ją znalazł, nie wierzył, że taka śliczna buzia przyszła na świat u rasy podludzi.

Zabrał ją do kwatery. Żaden Niemiec, spojrzawszy w czarną głębię jej oczu, nie mógł dobyć broni. Ale znalazł się ochotnik. „Sześcionogą" zwany, z uwagi na towarzyszącego mu wielkiego, agresywnego psa. Źrenica mu nie drgnęła, gdy przystawiał jej zimny metal do szyi.

Rodzice podarowali jej dwa tygodnie życia. Nic więcej. Ni dzieci, ni własnej mogiłki.

Ludzie z Łap nie mogą sobie przypomnieć jej imienia.*

*Opowiadanie inspirowane prawdziwymi zdarzeniami z czasów II wojny światowej, kiedy to żydowskie rodziny, przeczuwając, że pociąg wiezie je na śmierć, próbowały ocalić chociaż swe dzieci – wyrzucając z okienek wagonów, wprost na tory. Czarnooka dziewczynka była jedną z wielu zastrzelonych wyrzutków.